



MIESIĄC Z KURIEREM

M ROZMOWA
miesiąca

z Anną Augustynowicz

- dyrektorem artystycznym Teatru Współczesnego

Teatr nie jest panienką

F - TEJ jesieni mija pięć lat pani dyrektorowania w Teatrze Współczesnym. Najpierw była to dykcja samodzielna, potem - tak jak teraz właśnie - na stanowisku dyrektora artystycznego, we współpracy z dyrektorem naczelnym Zenonem Butkiewiczem. Jaka to perspektywa dla pani, te pięć lat? Perspektywa sukcesu, konfrontacji z twardą rzeczywistością, dojrzałości życiowej?

- Pytanie jest trudne... Bo mnie się
- Ale to przecież też jakiś spraw-

zespołem, a to jest sześć lat. Nie dokonuję też i w tej mierze jakichś podsumowań, nie ma we mnie takiej potrzeby. Istotą mej pracy z zespołem jest temperatura naszych wzajemnych kontaktów. Zależy mi, żeby była wysoka. Nie traktuję swej posady jako frajdy bycia „panią dyrektorką”. Liczy się natomiast to, że ten zespół pozwala mi odczuć, że jestem liderem grupy.

- To daje pani komfort psychiczny?

- Tak. Ale ten komfort może być groźny.

- Jak każdy komfort - w życiu artysty. Bo rozleniwia.

- Dlatego nie wolno się poczuć zbyt wygodnie... Zdaję sobie sprawę, że nie mam z tym zespołem dożywocia. Wszystkie zespoły się rozpadają. Nie tylko te stworzone przez instytucje artystyczne. Te nieformalne też. A teatr to to, co się zdarza grupie ludzi w jakimś czasie i przestrzeni. Liczą się więc dla mnie ci ludzie, miejsce i to, co zrobiliśmy i robić będziemy jeszcze razem.

- Razem, czyli jak? Zespołowo? W dobrym klimacie? Co miała pani na myśli mówiąc wcześniej o „temperaturze wzajemnych kontaktów”?

- Na pewno nie jakieś pseudoserdeczne ciepélko, ale to, czy się nawzajem czujemy, czy mamy coś sobie do powiedzenia. A „razem” znaczy w tym wypadku to, że dopracowaliśmy się - co jest bardzo istotne - pewnego języka. Nie stylu! Bo jak mi już w teatralnej szkole mówiono: jeśli masz styl to... idź na emeryturę. Język się liczy. Chodzi o to, by aktorzy porozumiewali się dobrze ze sobą, żeby nauczyli się na próbach prowadzić akcję utrzymaną w stałej, wysokiej temperaturze... Temperatura ta



FOT. R. STACHNIK

zwykle przenosi się na spektakl. To, co robimy, jest więc wspólne. Dobór reżyserów do pracy w naszym teatrze też ma to na celu. Mówię „to”, więc jaśniej powiem, o co chodzi: o prawdę. Teatr współczesny nie może być konwencją. Jedno w nim winno obowiązywać kryterium: prawdy. Jeśli aktorzy nie kłamią swym zachowaniem, to grane przez nich role są wiarygodne dla widza. A jeśli jest to udawane, to widz jak barometr wychwyci od razu fałsz i „wylączy się”.

- Pierwsza nasza rozmowa, po objęciu przez panią dykcji po Bogusławie Kiercu, zapadła mi w pamięć między innymi dlatego, że sprawiała pani wtedy wrażenie osoby bardzo pewnej swego. Czyli tego, że taki teatr, jaki chce tu pani tworzyć, artystyczny, repertuarowy, nie ulegający konwenansom i skomercjalizowanej rzeczywistości, jest możliwy. I taki teatr, w dużej mierze, udało się we Współczesnym stworzyć. Ale ile było w tej pani ówczesnej pewności, że się uda - prawdziwej pewności siebie, a ile chęci zagadania w sobie wątpliwości, obaw?

- Ja wtedy byłam bardziej przekonana do swych słów, do tego, co sobie wymyśliłam, niż w tej chwili... Może to dziwne, ale doświadczenie tych pięciu lat rodzi jednak coraz więcej obaw. Obaw, co do sensu tego, co się ludziom przekazuje ze sceny. W tej rozmowie, o której pan wspominał, i w ogóle wtedy - bardziej ulegałam własnej idei teatru. Od tego

(Dokończenie na str. 10)

Teatr nie jest panienką



Anna
Augustynowicz

(Dokończenie ze str. 9)

trzeba odejść, żeby nie popaść w samouielbienie. Nie można się zagadywać myślą, że to co robię, proponuję innym, jest świetne, niepowtarzalne. Natomiast to, czemu staram się być w tej pracy wierna - to to, żeby być uczciwą i nie wpuszczać w maliny tych, którzy ze mną pracują. Bo muszę być sama do końca przekonana, że to, co proponuję innym, ma dziś sens. Jest z jakichś względów ważne.

- Rozumiem, że i widzów nie zamierza pani w te maliny wpuszczać?

- Oczywiście. To jest główne, i wspólne dla wszystkich w teatrze kryterium. Kryterium, o którym już wspominałam: kryterium prawdy.

- Nie dla wszystkich jest jednak ono tym samym... A to rodzi spełnienia i niedosyt. Jaki niedosyt odczuwa pani po tych pięciu latach? Czy wszystko się udało? Nie czuła pani czasem jakiegoś rozczarowania, że publiczność, krytyka nie przyjęła pani pracy tak jak by pani to sobie wymarzyła?

- Jeśli mogę tu mieć jakiegokolwiek rozczarowania, jakiś niedosyt, to dotyczy to wyłącznie mojej osoby... Mam takie dwa niespełnienia, dwa spektakle. Pierwsze to „Maciej Korobowa i Belatrix”, drugie: „Romeo i Julia”. Przesadziłam w nich. Poszłam „za szeroko”. Mam wrażenie, że gdyby zrobić „Romea i Julię” w przestrzeni ciśniejszej, takiej choćby, jak „Iwo-

na, księżniczka Burgunda”, to przedstawienie mogłoby być bardziej gorące, lepiej odebrane. Podobnie jak „Maciej Korobowa” nie byłby tak zimny, gdybym go zrobiła w „Małarni”... Ja oglądam swe przedstawienia po kilka razy, z różną publicznością. I widzę, jak ona reaguje. Tak więc mam świadomość jej potrzeb, jej oczekiwań. Czuję się za nią w jakiejś mierze odpowiedzialna... Czuję więc, że mogłam dla niej zrobić coś więcej. Natomiast nie mam w ogóle zastrzeżeń, jeśli chodzi o to, jak ta publiczność przyjmuje to, co robimy... Uważam zresztą, że jest ona bardziej otwarta niż w wielu innych ośrodkach teatralnych w Polsce. Zartuję czasem, że w Szczecinie bardzo dobrze robi się teatr, bo tu wieje wiatr i przewiewa różne prądy, trendy, tak że się nie czuje ciasnoty i człowiek się nie dusi, bo nie ma klik, układów, jak w wielu miastach, gdzie knuje się wokół jakiegoś przedstawienia, zanim ono w ogóle powstanie...

- Może dlatego, że nie ma miejsca, okazji, ochoty do dyskusji o sztuce?

- Nie, tu po prostu reakcje są naturalne, spontaniczne, wyzbyte uprzedzeń, jakie rodzą się w zamkniętych środowiskach. Jak się ludziom podoba, to się podoba, a jak nie, no to nie. Ja na przykład pamiętam taki program telewizji szczecińskiej, gdzie ludzie wychodzą po „Młodej śmierci” i wiele osób wypowiada się z niesmakiem o tym spektaklu. Ale ja się nie czułam urażona tymi wypowiedziami, wręcz przeciwnie, dla mnie były one ważne. Bo potwierdzały, że ten teatr,

nasz teatr, ludzi dotyka. A on powinien dotykać, poruszać. Teatr nie jest panienką do podobania się, powinien budzić emocje. Lepiej, że ktoś mówi: „co ona zrobiła? to jest okropne!”, niż gdyby miał nic nie mówić bo się przespał na widowni. Te wypowiedzi dotyczyły zresztą sfery etycznej, a nie estetycznej. I o to chodzi. Kształt estetyczny jest dla teatrologów, krytyków...

- ...u których Współczesny ma ostatnio wysokie noty. To był dla was udany sezon. Nagrody na festiwalach, dużo pochlebnych (choć nie tylko) recenzji w ogólnopolskiej prasie, występy gościnne i zaproszenia... Dobrze, gdy wokół teatru tak głośno?

- Myśmy sobie z zespołem wspólnie ustalili, że robimy swoje nie nadszając się na sukces. Natomiast jest rzecz jedna, dotyczy istoty wartości. Żeby wartość stała się wartością, musi zostać uznana. Dla mojego zespołu i dla mnie jest ważne, że to, co robimy, uznaje publiczność. To są te wszystkie uśmiechy, łzy, oklaski, czasem cisza... Ten właśnie odbiór konstruuje to, co my robimy, jako wartość. Nie jest dla nas istotne, w jakim stopniu jest to doceniane przez krytykę, środowisko... Gdyby się przejmować recenzjami, próbować się wpisać w tembr oczekiwań teatrologów, środowiskowej opinii - byłaby to sytuacja niezdrowa. Aby zjawisko teatralne było żywe, trzeba widzieć i słyszeć to, co dzieje się wokół nas, i być uczciwym próbując to wyartykułować artystycznie... Nieależnie czy się to będzie komuś podobalo, czy nie. My mamy swą publiczność, która czyni naszą pracę wartością. I to jest ten poziom satysfakcji, który pozwala nam grać dalej. Natomiast te sukcesy ostatniego sezonu... Rzeczywiście, jest coś takiego, iż zaczyna się nas „w Polsce” widzieć; koledzy zaczynają o nas ciepło mówić, pisać. Każdy człowiek jest próżny. Przed tym się nie ucieknie. Każdy lubi być poglaskany, podrapany za uchem; więc te opinie, uwaga, jaką się nam poświęca, to wszystko jest mile.

- Ale to przecież też jakiś sprawdzian wartości, potwierdzenie słuszności wybranego kierunku.

- Mam wrażenie, że... nie można się tym przejąć zbyt. Bo taki sprawdzian ma krótkie nogi. Dziś nas uznają, ale potem już odcinamy tylko kupy. Natomiast teatr twórczy musi sięgać po coraz nowe tematy do rozmowy z publicznością. I zobaczymy jak nam w tej mierze dalej pójdzie. Nie potrafię tu zadeklarować - jak kapitan statku - że największe burze już przeplłynęliśmy, i teraz to będziemy wielcy. Trzeba mieć dużo pokory wobec rzeczywistości, która się dzieje wokół, tak gęstej, częstokroć przerażającej moc teatru. Nie można się nastawiać na doskoczenie do czegoś na siłę. Bo aktualne. Wiele lat istniał u nas teatr na poziomie politycznym, taki, że się „przyładowywało”, np. władzy. I wszyscy się cieszyli. Ale dziś są tak różne zjawiska, że próba wysłyszenia czegoś, co może być istotą dramatu, który dotyka współczesnego człowieka, staje się niezmiernie trudna. Poza tym nie wystarczy usłyszeć, to się musi jeszcze sprawdzić na scenie. A przecież nie zawsze się sprawdza. No i na to trzeba być przygotowanym. Bo teatr uczy pokory. Wobec siebie i wobec innych.

Rozmawiał
Artur D. LISKOWACKI